Rok IV.

Nr. 33. Nr. 33.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 15 sierpnia 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Na sejmik w interesie spraw moralnych!

Przeklęctwo złego czynu na tém polega, że on ciągle wyradzać musi złe następstwa; błogosławieństwo zaś dobrego czynu znowu ciągle dobre skutki płodzi, chociażby się one w pozorowych objawach początkowo — jak najgorszemi widziały.

Ludzi niemoralnych zwodzi częstokroć to, że po złym czynie, n. p. po oszustwie, oszukujący widoczne, zwykle bezpośrednie odnosi korzyści, — gdy oszukany strat dotkliwość natychmiast uczuwa. Dla oszukanego w niemoralnym interesie, t. j. takim, któryby był na szkodę bliźniego, sam oszust jest niejako narzędziem kary, a płytkomyślni ludzie wyśmiewają się z oszukanego i cieszą się z oszustwa, choć ono i wtedy jest źródłem dalszych niecnot, — których ofiarą pada ostatecznie oszukujący, jego wspólnicy i ich następcy. Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Sędzią złych czynów jest sama publiczność w któréj łonie zło się odbyło, a przed którą nic a nic utaić się nie da. Z pokolenia w pokolenie podają rodzice dzieciom i domownikom w rodzinnych kółkach wiadomości o występkach lub zacnych czynach sąsiadów dla przestrogi lub nauki. Jeżeli się nie odbywa sąd taki głośno, publicznie, — nurtuje społeczność potajemnie, aż wyjawi się głośniéj przy zgonie, ślubie lub jakiéj innéj okoliczności. Tym sądem tajemnym, potępiającym złe czyny lub chwalącym dobre uczynki, — stawiając je za przykłady do unikania lub do naśladowania — jest Opinja publiczna.

Nie ma człowieka, któryby nie miał w społeczeństwie, u sąsiadów swéj dobréj czy złéj reputacji, — a im szerszy czyjś zakres działania, tém szerszém jest owo koło poruszonéj temi sądami fali społecznéj.

Tam gdzie moralność upada, t. j. tam gdzie nie wiele zacnych rodzin, tam i występki i cnoty bywają mniéj dobitnie oceniane, aż znów nadejdzie chwila sprawiedliwości, t. j. gdy namnożone następstwa złych czynów wywołają ogólną jakąś katastrofę czy klęskę.

Takie momenta są chwilą upamiętania się, reflexji i wtedy występują jedni śmiało ze sądami potajemnie dotąd nurtującemi społeczeństwo, — a drudzy przestraszeni upadają na duchu, widząc, że mylną szli drogą, — że ich rozum pomijający interesa ogółu — nie był rozumem.

Że naturalnie źli wyjawieni wiją się przed prawdy światłem, że są pełni sromu i szukają jak mogą ukrycia lub choćby momentalnéj obrony — to bardzo naturalném.

Obecnie mamy taką chwilę, — a mianowicie katastrofę giełdową, któréj skutki dopiero rozpoczęły się i u nas.

Że wystąpienie nasze przypadło w chwili powszechnego zwątpienia, w chwili, gdy tylu kapłanów dało wzór, jak przy swém przekonaniu stać i jak swéj władzy moralnéj słuchać należy, — i że to nasze oskarżenie naczelników pewnéj części społeczności naszéj w takich nawet okolicznościach roznamiętniło publiczność, — to nie może być ani naszego słabego izolowanego głosu skutkiem, ani rzeczą przypadku dla tych, co wierzą: że „nam włos z głowy bez Boga wiedzy i woli nie spada.“ Są pewne nieodzowne prawa dla ruchu słońc jak dla ruchu myśli.

Sprawa Dr. Józefa Szafarkiewicza, dzięki Bogu! rozpocznie się przed kratkami sądowemi dnia 28 b. m. Wyrok tego sądu wyświeci tylko część naszego „warjactwa.“ — Najtrudniejsza to będzie dla naszego oskarżenia próba, — bo przed tym sądem tylko podrzędną

mają wartość przekonania moralne, t. j. takie, których właściwie udowodnić nie można, ale które tak głęboko w uczuciu naszém się zakorzeniły, że nam nasze sumienie odstępywać od nich nie pozwala. Mimo to wygramy sprawę — mamy w to wiarę. Ale gorąco pragniemy wyroku czyli sądu obywatelskiego, bo wyrok urzędowy prawniczy niedostatecznym jest, choć będzie miarą poniekąd, — a najniezawodniéj i pohopem do zawyrokowania — o naszém oskarżeniu pp. Łyskowskiego i Dobrowolskiego, których szkodliwość na zajętych stanowiskach społecznych jest o wiele, według naszego przekonania, donioślejszą i niebezpieczniejszą, bo szerszą w zakresie działań.

„Psuć lub drażnić lub plugawić, to nie czyny męża.“ Te słowa są nasze. W „Polnych kwiatach“, zbiorku drobnych poezji, już temu blizko lat 20 wypowiedziane, były dla nas od dawna zasadą. My burzymy to co złe, burzymy okopy Bractwa Wzajemnéj Adoracji, które sterczą dla patrzących z dala — niby ludne miasto Potemkinowe, malowawa dekoracja z desek dla oszukania carowéj Katarzyny Że ci, którzy zdala się patrzą, nie widzą, — to niech raczą się zbliżyć i przekonać. Poprόbować młotkiem wartość tych niby-murów! Niech po nas nie wymagają, ażebyśmy je w numer Tygodnika, pod przepaskę owinęli i przesłali w dom, — i położyli na szafeczkę przy ich łóżku!.. Nie wierzyć na słowo! — Dobrze! Tego pragniemy! Ale znów nie chcemy, ażeby sztaba złota dla tego że się nie świeci, miała być bez przekonania się odrzuconą dla liczbonów choćby i złoconych.

Niech po nas nie wymagają, ażebyśmy w sprawie czci obywatelskiéj podawali sądowo-prawnicze, na cyfrach i świadkach oparte namacalne dowody zbrodni i kradzieży, bo tych nie rugujemy, — bo te należą przed forum praw i sędziów z urzędu.

Żądano od nas faktów. Podaliśmy właściwie jeden tylko, rzeczywiście sądowy, na pp. Łyskowskiego — Fajansa, dla wykazania panom z Rady Nadzorczéj Banku Toruńskiego, że nie wiedzą co się u nich dzieje. Ten fakt zawiera kilka niedokładności, jak każdy przez nas podany mieć musi, bo nie stenografowaliśmy ani opowiadań, a często i nie pamiętamy ani nazw osób, ani dat*). Nie spodziewaliśmy się bowiem nigdy występować jako oskarżyciel. Ale że tylko na faktach dobrze nam znanych, zdarzonych temu lat kilkanaście lub kilka opierać się możemy, zanim się w nas wyrobiło nasze moralne przekonanie — o osobach o których mówimy czy źle czy dobrze, — to jest naturalném. My sami osobiście dbamy więcéj o dobre imię, niż o wszystkie skarby w świecie. Niech przeciw nam wystąpi publicznie ktobądź z fałszem najoczywistszym, z najohydniejszém oszczerstwem! I owszém! My go przed kratki sądowe nie pozwiemy, ani nie pozwolimy sobie wystawiać świadectw uczciwości, bo takowe są terminatkami dla utracających obywatelską służbę, — ale tém niecierpliwiéj, tém skwapliwiéj sprosilibyśmy ludzi prawych i ogólnie znanych, — niechby oni przesłuchali oskarżyciela i nas oskarżonych oko w oko i zawyrokowali o sprawie na wzajemnie dostarczonych dowodach! Tegobyśmy pragnęli dla siebie, tego pragniemy i dla naszych przeciwników, według zasady: czyń innym to, co chcesz ażeby i tobie czyniono. Po takich próbach ogniowych — złoto się czyści, a brud ginie.

Dotąd w kraju nie piastowaliśmy żadnego obywatelskiego urzędu. Po raz pierwszy stajemy w obec publiczności jako samodzielny redaktor. Niechżeż wet za wet wystąpią nasi antagoniści. Tegośmy się powinni spodziewać. Wyzywamy ich do tego naszym odpowiedzialnym czynem, — demaskowaniem ich pobudek i sprawek — stając się echem nurtujących w społeczeństwie o nich sądów.

Możeśmy „źle poinformowani“ jak nam jedni mówią. Być może. Sąd obywatelski to zawyrokuje — na mocy świadków i dowodów jakie mamy.

Ale cóż mamy mówić, gdy nas nawet najlepsi przyjaciele pp. Łyskowskiego i Dobrowolskiego ani słuchać nie chcą!...

Lat temu dwa, gdym się prosił o pożyczenie mi 250 tal. p. Dr. Zygmunta Szułdrzyńskiego, chciał mi dać pismo do p. Mieczysława Łyskowskiego, ażeby tenże mi je dał z banku swego...

— Od ciebie, rzekłem, przyjmę nietylko 250 tal., ale 100, 50, 5 tal., 5 groszy nawet nietylko pożyczką, ale i jałmużną, ale od p. Łyskowskiego ani 2,500, ani 250,000 tal. nie wziąłbym; raczéj tłukłbym kamienie przy szosie ..

— Czemu? zapytał mnie pan Dr. Zygmunt Szułdrzyński.

— Bo ciebie znam jako uczciwego człowieka, — a tamten nim nie jest.

— Przepraszam! — On mój najserdeczniejszy przyjaciel! odparł p. Zygmunt.

— Nie moja wina, że takich masz za przyjaciół! odrzekłem.

— To już nic z panem nie mam do czynienia! oburzony zawołał, uchwycił za kapelusz i wybiegł z pokoju, gdzie i ja byłem gościem.

I od téj chwili — nie znamy się...

Inny, mój czczony i również dawny znajomy i tych panów przyjaciel, — ojciec dzieciom, szczęśliwy małżonek, zacny, kochany obywatel, — na ośm kroków stanął mi do pojedynku, ujmując się za czcią panów Łyskowskiego i Dobrowolskiego, — ale jak ów, tak i z téj sprawy pięciu świadków, a pomiędzy nimi i pan Dr. Henryk Szuman, nikt mnie nie spytał o powody mego przekonania.

Tak samo się i dziś dzieje po różnych, bardzą zacnych domach mnie wiadomych, — gdzie piorunuje na moje „warjactwo“, „nieparlamentarność“, „kalani- własnego gniazda“, „oszczerstwa“, „szarpanie wszystkich“ i t. d. i t. p., a inni świadczą: (nie wybadawszy mnie) — że p. Łyskowski stoi „wyżéj czynionych mu zarzutów!“

Czy to jest stan normalny społeczeństwa naszego?

Czyżby się nie znaleźli ludzie z sercem i głową, coby się zerwali z rozpaczy nad tym stanem ślepoty moralnéj, — nad tym fetyszyzmem ludzi, którym publi-

---

*) Prostujemy ten fakt z listu naszego przyjaciela:

„Nie poinformowałeś się dostatecznie i podałeś fakt w ostatnim numerze niedokładny. Rzecz się ma tak:

W 1872 r. obywatel z Pałuk polecił agenturze w Nakle (za czasów Ossowskiego, a nie Tura), zakupienie żółtego łubinu i koniczyny. Ossowski polecił zakupno agenturze w Bydgoszczy, Władysławowi Radkiewicz synowi (a nie ojcu: majorowi Stanisławowi), który łubin zakupiony przesłał do Nakła wraz z rachunkiem za 1000 kilo po 41 tal. 10 sgr., — i takiż rachunek przesłał był bankowi. Bank zaś zmienił rachunek, podwyższając cenę zakupu o 2 czy 3 tal. za 1000 kilo, obliczając prócz tego prowizję. Bankowi wolno było tylko brać samą prowizję, ale nie sprzedawać ziarna jako swój towar.

Co do rzepiku, to znów inny fakt, o którym w razie konieczności Józef Tur może ci podać dokładną wiadomość. Bądź ściślejszym i dokladniejszym w podawaniu faktów, bo to paraliżuje sprawę.

Jednéj myśli nie dostrzegłem w twéj obronie co do świadectw.

Nędzne świadectwo każdy sam sobie już wystawia, kto pozwala innym w swéj stawać obronie. Tego nawet nie wolno nikomu próbować. Każdy powinien rzecz jasno postawić, podając kontr-dowody, — bo gołosłowne, ogółowe świadectwo trzecich osób żadnego zarzutu nie zbija.“

cznie odmawiamy czci obywatelskiéj — nie prawem przepisanéj.

Czym ja rzeczywiście zwarjował? Czy zwarjowali inni?... Zaiste! każcie mnie panowie zamknąć do Owińsk, ażebym przynajmniéj nabrał moralnego przekonania — żem warjatem!

Ale na Boga, nie idźcież tą drogą daléj, — bo ten stan moralny nas hańbi!...

Mężowie, którym cześć obywatelska nie jest czczym dźwiękiem, stańcie do wyroku albo na tych, na których bić z całéj siły nie przestanę, albo na mnie!..

Opinja publiczna niech przez Wasze usta zapanuje! Zbierzcie się na sejmik w sprawie interesów moralnych, jako na areopag obszerniejszego rodzinnego koła — i odważcie się mówić tak głośno publicznie — jak mówicie w rodzinie waszym dzieciom i domownikom, a nowa dla nas zakwitnie epoka!...

Wł. hr. Chotomski.

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

(Ciąg dalszy).

VII.

Takie to było szczęście naszéj chatki!
Myślałam nieraz: może to za wiele!
Bo się mnożyły domowe dostatki,
Coraz wzrastało szczęście i wesele,
I tak szło wszystko, jak mówią: od ręki —
Tak działo, jakem nie śmiała zamarzyć,
Prawie bez modłów niebu — bez podzięki!
Aż przestraszona takiém powodzeniem
Bogu mojemu zaczęłam się skarżyć;
Skarżyć obawą, serca udręczeniem,
Troską i dziwném przeczuciem odmiany.
A umysł szczęściem prawie skołatany,
Drżał mi w obawie, serce w trwodze chwiało —
I Bogu memu zaczęłam się skarżyć,
Że trosk, cierpienia dawał mi za mało!
  A nieraz marząc o przyszłości dzieci,
Gdy mi przed okiem stawała jak żywa,
Drżałam z obawy, żem taka szczęśliwa!
Drżałam w obawie, że słońce co świeci,
Niebo, co czyste zwiastuje pogody,
Cały gmach marzeń runie z wysokości
Na serce, pełne wiary i miłości,
Nie wzwyczajone do łez ni do szkody,
Nie umiejące złego dobrem ważyć,
Bo walki dotąd w życiu nie zaznało.
Więc Bogu memu zaczęłam się skarżyć,
Że trosk, cierpienia dawał mi za mało!

VIII.

W głębi framugi, nad łóżkiem Jagody,
Wisiał obrazek Częstochowskiéj matki.
Obrazek mały, lecz dziwnéj urody,
A dla mnie droższy nad wszelkie dostatki.
Przed tym obrazem łzy i niepokoje
Składały babki i prababki moje,
Bo był to obraz dawany w spuściznie,
Córkom, wraz z wianem w groszu i bieliznie.
I przechowało domowe podanie
Niejeden szczegół wszechmocnéj opieki,
Jaką ten obraz wiszący na ścianie
Otulał starce, męże i kaleki
Naszéj rodziny; a rodzina cała
W nim swoje troski i ufność składała.
  Powiadał rodzic, że raz — w czasie wojny,
Kiedy Tatarzyn okolicę złupił,
Obraz ten chatę od szkody odkupił,
Iż cało uszła w ten czas niespokojny.
Nie pomnę, jakim cudem się to stało,
Bo zaginęły szczegóły powieści;
Lecz odtąd — takie uczucie przetrwało
W sercu rodziny dla Matki boleści,
Iż po dziś — w chacie w wszystkie dni soboty,
Strzegą się ludzie mozolnéj roboty,
A do kościoła spieszy ten, kto może;
I zawsze odtąd pali się w komorze
U stóp obrazu lampa poświęcona.
Tak nieraz strzegła chatę jéj obrona.
  Mówiono także, że raz — całe sioło
Człowiek nieludzki z wszech stron, na około
Podpalił; wtedy straszne zamieszanie
Powstało we wsi, a lud w wielkiéj trwodze
I w bezpamięci rzucał się po drodze.
I znów ten obraz wiszący na ścianie
Chatę węglarza od szkody ocalił.
Sioło zgorzało i folwark się spalił,
Cała wieś poszła z dymem — tylko jedna,
W środku pożaru i nieratowana,
Chata węglarza pozostała biedna.
Węglarz był w pracy, żona gdzieś u łoża
Zasłabłéj córki — same dzieci w domu.
Biedna kobieta nie mając zdać komu,
Zdała je Bogu! a opieka Boża
I Matki Bozkiéj broniła jéj dziatek.
To był już drugi łaski téj zadatek!
  Raz znów — nadeszły bardzo trwożne czasy;
Wieść się rozbiegła w całéj okolicy,
Że z stron dalekich, aż pod nasze lasy
Przyszli rabusie. Lud przyjął te wieści
Z wielkim przestrachem; w on czas rozbójnicy
Żyli we zwrotkach pieśni i powieści —
I przerażali dziatki gdy do łoża
Kłaść się wzbraniały. Lecz nawet starszyzna,
Choć się do trwogi tajemnéj nie przyzna,
Drżała przed lichem, które wola Boża
Do lasów naszych przygnała podnóża.
Popłoch był wielki; złożono obławę,
Lud jak na zwierza do lasu wyruszył,
A w chatach matki pozostały łzawe
I małe dzieci. Reszta wyszła w pole.
Nawet ci, którym głowy śnieg popruszył,
Co przechodzili biedę i niedolę,
Zlękli się śmierci z bratobójczéj dłoni.
  U drzwi kościelnych schorzały dziad dzwoni
Jakby na pomór tym, co żyją jeszcze;
Zdala się krzyki rozchodzą złowieszcze —
Może to wykrzyk ojca, brata, męża!
Którym świat żegna, nim uwięźnie w krtani;
Może szyderstwo tego, co zwycięża!
I ciało rzuca w męczarnie otchłani!
  — Zlituj się Boże — o! zlituj się Panie!
Żona węglarza z dziecięciem u łona,

Klękła w pokorze i u stóp obrazu,
Pod ktorym błyszczy lampa uświęcona,
Błagała łaski, pomocy — rozkazu.
Któryby wstrzymał nędznych zbójów hordy,
Wstrzymał te krwawe pożogi i mordy!
Daremnie! cisza zaległa po wrzasku,
Cisza zdradziecka — ona boleść wróży!
Zbójców gromada z najbliższego lasku
Raz się ukaże, to znów się zanurzy,
Jak gdyby reszta krwi nienasycona,
Sięgała mieczem ostatniego łona.
Wszystkie kobiety z dziatwą rozpłakaną
Rzuciły chaty, uciekając w zborze;
Żona węglarza na klęczkach w komorze
Czekała męża. A tam — po za ścianą,
Krzyk mordu, bólu, jęki i rozpacze!
Młoda kobieta nie woła, nie płacze,
Tylko słuch tęskny w dal ciemną wytęża,
A serce składa przed Matki obrazem.
Ona dziś żoną i kapłanką razem;
Nie rzuci chaty, nie opuści męża!
W jéj chacie ołtarz dla Bogarodzicy,
Co ją chroniła od trosk i od sromu;
W jéj sercu ołtarz miłości dla męża.
Serce jéj zrosło z progiem tego domu,
Zrosły z nim wszystkie wspomnienia dziewicy,
Marzenia żony, urojenia matki.
Ona nie rzuci męża, ani chatki!
W święconą lampę oliwy dolała,
I czeka milcząc. Nie długo czekała.
Sam wódz czeredy, światłem przywabiony,
Wstąpił do chaty i stanął na progu;
Spojrzał — kobieta klęczy w Panu Bogu
I wzrok swój trzyma w obrazie utkwiony.
— Ktoś ty?! zawołał. — Jam żona i matka! —
Gdzie twój mąż?! krzyknął. — Pod opieką Bożą!
— Czy ciebie bóle, pożogi nie trwożą,
Żeś pozostała w chacie do ostatka,
Choć inne z dziećmi pomknęły na pola?
— Mnie w mojéj chacie trzyma Boża wola,
I wola serca. Zabić mnie możecie,
Żywą nie wyjdę. Oto moje dziecię,
Otom ja żona, oto obraz święty,
Innych mąż skarbów nie zostawił w chacie.
Ale wy może i takich szukacie?
Może was dziecię, żona, Bóg opuścił?

Na słowa takie, wyraz niepojęty
Drgnął w twarzy zbója; wzrok w dłonie upuścił,
I szepnął cicho: — Nie! w chacie mam żonę,
Mam dziatki — żyją — nic nie pogrzebione,
Tylko mi Boga zabrakło w sumieniu. —

Zbliżył się ku niéj i na jéj ramieniu
Dłoń złożył: — Słuchaj, twój Bóg cię wybawił
Jeżeli jeszcze dotąd mąż twój żyje,
Jeśli go dotąd Bóg całym zostawił,
Niechaj czyn lepszy moje serce zmyje,
On i ci wszyscy, którzy nie zginęli,
Żyć będą! — Wybiegł — w chacie młoda żona
Czekała klęcząc. Po niejakiéj chwili
Mąż jéj powrócił, a krzyki, chałasy
Ucichły nagle. Zbójce poszli w lasy!
Tak nieraz strzegła chatę jéj obrona!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

Dyrektor zabrał głos:

— Hrabia Rikoczy chcąc zadać śmierć swéj pierwszéj żonie, by osięgnąć znaczne sumy, jakiemi zabezpieczył najpierw jéj życie, i by zaślubić osobę, którą dawniéj już kochał, użył do tego bardzo przebiegle trucizny, któréj dotychczas nauka chemji w ciele rozpoznać nie może. Zadał jéj prawdopodobnie tę truciznę w kawie, w oberzy pod „Królem węgierskim“, przypisał tę chorobę zaziębieniu i kazał ją uczynnemu lekarzowi nazwać cholerą, ponieważ symptoma podobne do niéj były.

Te wyrazy „uczynnemu lekarzowi“ wymówił dyrektor z przyciskiem.

— Nie przypuszczałem nawet myśli o otruciu, zawołał teraz doktor Kolaczek, jakby zbudzony z niemego osłupienia, w którym pozostawał dotychczas.

— Zapewne, rzekł dyrektor z ironicznym uśmiechem, jakże mógłbyś pan przypuszczać, aby brat panny Rikoczy był podłym mordercą; — a potém obracając się do konsyljarza, mówił daléj: — Kelner, który podawał kawę hrabiostwu Rikoczy, zeznał, że hrabia sam był w pokoju, gdy ją na stół stawiał, i że hrabina dopiero późniéj nadeszła. Miał więc hrabia dosyć czasu do wpuszczenia w kawę kilku kropli naparstnicy.

Pan Konsyljarz kiwnął potakująco głową, lecz dodał: — Być może że hrabia już w podróży do Wiednia zadał jéj truciznę; bo podług zeznania świadków przybyła już nieco cierpiąca tamże. W ten sposób nagły wybuch choroby tém łatwiéj można było wziąść za cholerę, którą zwykle poprzedza osłabienie. Słowem, wszystko to było jak najprzebiegléj obliczone

— Pozostaje tylko pytanie, dla czego hrabia nie pozbył się trucizny, gdy już jéj nie potrzebował?... Po krótkim namyśle mówił daléj: to da się tylko wytłómaczyć w ten sposób, że hrabia zatrzymał tę truciznę albo dla tego, by ją użyć częściéj w podobny sposób — droga zbrodni jest ślizką — lub téż na przypadek wyjawienia się téj zbrodni chciał jéj użyć, by ujść zasłużonéj karze. Przecież odkrycie to zaskoczyło go, kiedy się najmniéj spodziewał. Zresztą jest to objawem bardzo zwykłym w sprawach kryminalnych, że chociaż złoczyńca obmyśli wszystkie środki jak najprzebiegléj do ukrycia swéj zbrodni, znajdzie się zawsze punkt jakiś, na który bystre oko jego nie wpadło, jak gdyby Opatrzność zaślepiła go umyślnie, by go oddać w ręce sprawiedliwości. Tak można i tu wytłómaczyć sobie, że złoczyńca przepomniał o słoiku z trucizną, który teraz stał się jego najwymowniejszym oskarżycielem.

— Czy masz pan jeszcze co do nadmienienia? zwrócił się nakoniec dyrektor do dr. Kolaczek.

Młody lekarz wyprostował się, jak gdyby uniesiony ważnością tego co miał powiedzieć i rzekł z godnością lecz głosem, w którym się głęboki odbijał smutek:

— Nie mogę i nie chcę przeczyć zdaniu tak wielkiéj znakomitości w dziedzinie nauki medycyny, jak jest mój kolega pan konsyljarz Krüger, ale to zeznaję uroczyście i gotów jestem stwierdzić przysięgą, że leczyłem

hrabinę Rikoczy w przekonaniu, iż jest chorą na cholerę i nie przypuszczałem nawet czego innego. Żaden sprawiedliwy lekarz, stawiając się na mojém miejscu i zważywszy ówczesne stósunki miejscowe, za złe mi tego poczytać nie może.

Na twarzy dyrektora zabłysł uśmiech sarkastyczny. Konsyljarz wzruszył głową. Doktor Kolaczek mówił daléj:

— Dla tego wnoszę, aby mnie uwolniono z więzienia. Powiedziałem wszystko co wiedziałem i nie mam nic już do nadmienienia.

— Żałuję mocno, iż nie mogę zadosyć uczynić życzeniu pana, odrzekł dyrektor. Największy dowód pobłażania z méj strony dałem panu, żądając tylko kaucji 10,000 flr.

— Więc wytrwam cierpliwie, odrzekł młody lekarz, dopókąd los mój nie rozstrzygnie się razem z losem rodziny Rikoczy. Czy wolno mi odejść?

Dyrektor zadzwonił, odźwierny wszedł i odprowadził Kolaczka do więzienia, który z niezmierną boleścią przyznać musiał w głębi duszy, że czynione zarzuty hrabiemu Rikoczy nie mogły być płonnemi.

Oprócz tego pierwszego posłuchania odbyło się jeszcze kilka innych, z tych nadmieniemy tylko w krótkości, co się tyczy dawniejszych stósunków hrabiego. Pochodził on z znakomitéj rodziny węgierskiéj, jak już nadmieniliśmy wyżéj. Wychowany wśród zbytków i bezczynności, jak wszyscy prawie tamtejsi młodzi panicze, hrabia przehulał w młodym wieku cały majątek i potém, by się, jak to mówią, podreperować, ożenił się z Karoliną baronówną B..., majętną dziedziczką, chociaż kochał Rozalję M..., przyjaciółkę téjże. Karolina pomimo, że wiedziała o jego stósunku miłosnym z Rozalją, nie wzdrygała się oddać mu ręki, gdyż miłość silniejszą była od przyjaźni. Lecz oboje nie znaleźli szczęścia w tém połączeniu. Hrabia przehulał wkrótce znaczny majątek swéj żony, stał się milczącym, ponurym i dostawał częste napady melancholji, jak się to często zdarza u ludzi, którzy zbyt młodo zaczęli używać wszelkich rozkoszy światowych. Z korespondencji zabranych do sądu okazało się, że Rozalja była odtąd aniołem pocieszycielem obojga małżonków. Pisywała do nich łagodząc ich gorżkie na siebie skargi, pouczała Karolinę, jak ma cierpliwie znosić nieznośny czasem humor hrabiego, przebaczając im szlachetnie rany, które jéj sercu zadali, bo była kobietą prawdziwie kochającą, zdolną do najwznioślejszych poświęceń. Co daléj zaszło przy śmierci Karoliny z szkatułką, o tém powiedzieliśmy już poprzednio. Tu dodać nam jeszcze potrzeba, że z korespondencji zabranych przy rewizji w domu hrabiego Rikoczy okazało się, że truciznę wzmiankowaną zapisał sobie tenże z Paryża pod pozorem otrucia nią psa chorego.

IX.

W kilka dni po pierwszém przesłuchaniu doktor Kolaczek siedział w swéj celi więziennéj w głębokiém pogrążony dumaniu, gdy wszedł odźwierny i zaprosił go do inspektora. Kolaczek poszedł za nim zaciekawiony co mu znów mają do powiedzenia.

— Otóż list do pana z Pragi, rzekł inspektor. Proszę otworzyć go w mojéj obecności.

— List z pieniędzmi, rzekł Kolaczek zdziwiony, spostrzegając na kopercie pięć wielkich czerwonych pieczęci. Pismo zupełnie mi obce — od kogoż to być może? pomyślał. W liście znajdowały się 10,000 florenów w banknotach i przytém karteczka, na któréj stały tylko te wyrazy: Kaucja za pana dr. Kolaczka. Ukrywając w głębi duszy zdziwienie jakiém był przejęty, młody lekarz schował pieniądze do kieszeni i prosił, by go zaprowadzono do dyrektora. Domyślał się, że te pieniądze zostały mu przysłane przez kogoś z rodziny Rikoczy, ażeby odzyskawszy wolność, mógł działać w interesie hrabiego. Nie wzbraniał się więc bynajmniéj w przyjęciu takowych, a zresztą, ponieważ były przysłane anonimem, nie wiedział dokądby je odesłać. Zachodziła więc tylko kwestja, czy dyrektor zgodzi się teraz jeszcze na przyjęcie kaucji

Dyrektor przyjął go bardzo grzecznie.

— Nie wiem rzeczywiście, czy mogę jeszcze teraz przyjąć kaucję i wypuścić pana na wolność, rzekł kiwając głową. W procesie wychodzą teraz na jaw fakta, które cię panie doktorze bardzo kompromitują.

— Lecz nie możesz mnie przecież trzymać pan tak długo w więzieniu, dopókąd hrabia nie powróci do zmysłów, rzekł doktor z oburzeniem.

— Lecz sąd będzie może chciał osobném śledztwem, niezawisłém od procesu hrabiego Rikoczy, wypośrodkować wspólnictwo pańskie i pani Rozalji Rikoczy w téj zbrodni, rzekł dyrektor poważnie.

Doktor Kolaczek nie był dosyć obeznanym z prawnictwem by rozpoznać, że dyrektor chciał go tylko ustraszyć tą groźbą. Témbardziéj zdziwiło go, gdy dyrektor wstał nagle z krzesła, przeszedł się kilka razy po pokoju, jakby w wewnętrznéj jakiéjś walce, a potém przystąpił do niego i rzekł o wiele poufaléj:

— Słuchaj pan, z współczucia dla rodziny, któréj nieszczęście bardzo mi leży na sercu, jako i dla pana, który zdajesz się być bardzo z nią zaprzyjaźniony, przyjmę tę kaucję i wypuszczę pana na wolność. Nie wątpię, iż ta przyjaźń zdoła zatrzymać cię w naszém mieście i że nie nadużyjesz udzielonéj ci tymczasowo wolności i stawisz się do sądu, gdy zostaniesz zawezwanym.

— Dziękuję panu serdecznie, rzekł ucieszony doktor; jednakże powtarzam raz jeszcze i zapewniam pana jak najuroczyściéj, iż powiedziałem wszystko co wiedziałem i nic już dodać lub ująć nie mogę, dla tego częstsze przesłuchiwania mnie byłyby jak najzupełniéj zbytecznemi.

— Mogłoby przypadkiem zajść cośkolwiek, coby sędziów do innego spowodowało mniemania, rzekł dyrektor tajemniczo. Lecz odważę się na ten krok, choćbym nawet nieprzyjemności ściągnąć miał na mnie.

Doktor położył kaucję na biórku, dyrektor napisał kwit.

— Lecz proszę pana, aby ztąd żadne nadal nie powstały nieporozumienia. Już dla tego samego, aby nie wzbudzać nowych podejrzeń w tak złośliwych ludziach jak jest n. p. agent Melwille, trzeba się panu powstrzymać od widywania się z hrabiną i siostrą hrabiego. Lecz nietylko widywać się z niemi, ale i pisać nie wolno panu do nich, inaczéj byłbym zmuszony do nowych a może tém ostrzejszych środków ostrożności przeciwko panu jako i tym paniom. Nie sprowadzaj więc pan tych nieprzyjemności na mnie i na te panie. Bo trzeba mi panu powiedzieć, rzekł przybierając nader poważną i tajemniczą minę, że proces hrabiego bardzo źle stoi, tak, że nawet dla rodziny jego może nader przykry wziąść obrót. Przykro mi, iż to panu odkryć zmuszony jestem, lecz niech pan się nie dziwi, gdy pana i te panie zaaresztują pomimo kaucji, jeżeli się dowiedzą, iż pan porozumiewasz się z niemi osobiście lub listownie. Więc pan używaj mądrze swéj wolności, bo skoro odbiorę surowsze instrukcje od sądu apelacyjnego z Wiednia, nie będę już mógł czynić jakichkolwiek ustępstw ani dla pana, ani dla rodziny hrabiego; a uwikłanie w proces kryminalny tak jak ten, jest, zwłaszcza na stanowisku pana, jako lekarza, rzeczą bardzo kompromitującą, zarówno prawie, czy się na końcu winnym lub niewinnym okażesz. Polecam więc panu jak najusilniéj, abyś nie lekceważył mych rad i podług nich postępował.

Doktor oddalił się ujęty humanitarnością dyrektora, chociaż go trochę dziwiło, iż ten zdawał się dawać mu wyraźne skazówki, by korzystał z swéj wolności i umknął pokryjomu.

— Trzeba nieprzyjaciołom stawiać złote mosty, mówił pan dyrektor do siebie, zacierając ręce z zadowolnieniem po odejściu lekarza. Tego nastraszyłem należycie. Jeżeli natychmiast nie pojedzie w świat, jest głupim poczciwcem, którego jako rywala nie mam się czego obawiać. A jeżeli uciecze, wtenczas sam sobie napisał paszport u panny Łucji. Pogardzi nim, a dla mnie pozostanie otwarte pole. Tak, tak, perspektywa przez którą mu wszystkie interesa pokazałem, zmusi go do ucieczki. Że dla tego postrada kaucję, o to mu nie pójdzie, wszakże te pieniądze zapewne jego własne nie były. Moja groźba popsuła mu także chęć widywania się z Łucją i jéj bratową; a kiedy ich widywać nie może, to chciałbym wiedzieć, coby tu u licha dłużéj robił. Wszędzie się lepiéj zabawi niż tutaj.

Tak obliczał starannie pan dyrektor wszystkie korzyści, jakie miały dlań z procesu tego wyniknąć.

Doktor Kolaczek nie mógł się cieszyć z odzyskanéj wolności, bo zakaz dyrektora widywania się z rodziną Rikoczych, napełniała go uczuciem goryczy. Jednakże nie chciał się opierać temu człowiekowi, do którego od samego początku czuł wstręt mimowolny. Więc téż zadowalniał się tém, że przechodził często pod oknami Łucji i kłaniał się, gdy ją w oknie stojącą ujrzał.

Łucja nie domyślając się przyczyny oziębłości młodego doktora, była nią niezmiernie zdziwiona. Albo wierzy wszystkiemu i gardzi nami — pomyślała — albo nie jest zupełnie niewinnym i lęka się większego jeszcze skompromitowania obcując z nami. Te wątpliwości napełniały jéj duszę tak nieznośną goryczą, iż postanowiła pozbyć się ich śmiałym krokiem, na który odważyć się dawniéj, zdawałoby jéj się było zupełném niepodobieństwem.

W kilka dni po swém uwolnieniu doktor przechodził się smutny i zadumany wśród strojnéj zgrai gości bawiących u wód. Do jego złego humoru przyczyniło się niemało i to, że uważał wielką zmianę w obchodzeniu się z nim znajomych mu osób. Jedni kłaniali mu się z daleka, inni unikali widocznie zetknięcia się z nim, inni znów wypytywali go się wręcz o szczegóły sprawy, która już dość znacznego nabrała rozgłosu. Wtém ujrzał zbliżającą się doń Weronikę, pannę służebną hrabiny Rikoczy. Pospieszył kilka kroków naprzód, by się mógł rozmówić z nią na uboczu, w cieni rozłożystéj lipy. Weronika powitała go nieśmiało i oddała mu liścik. Doktor drżącą ręką zdarł kopertę i przeczytał następujące wyrazy:

„Musimy koniecznie widzieć się z Panem. Jeżeli nam Pan nie odmówisz téj przyjacielskiéj usługi, to bądź tak łaskaw oznaczyć czas, w którym czekać mamy odwiedzin pańskich, ustnie przez oddawczynię tego listu.“

— Przybędę dziś wieczorem z pewnością, rzekł zmieszany nieco doktor.

— A o któréj godzinie? zapytała dziewczyna.

— Późno wieczorem, może około dziesiątéj. Powiedz paniom, że w żaden sposób nie mogę przybyć wcześniéj, dopiero wtenczas, kiedy w domu już wszyscy udadzą się na spoczynek.

— Ach panie, odrzekła Weronika, w tym domu gdzie mieszkamy o 10 jest jesscze pełno ruchu, a kuchnia gospodarzy jest tuż obok schodów.

— Więc wnijdę tylnemi drzwiami od ogrodu i może dopiero około północy, rzekł doktor po chwili namysłu. Przybywszy powiem paniom przyczynę i przeproszę je, iż zmuszony jestem obrać tak późną porę do mych odwiedzin.

Weronika po téj odpowiedzi oddaliła się spiesznie. Kolaczek przepędził w gorączkowém niepokoju godziny wieczorne. Poszedł do cukierni czytać gazety, lecz nie wiedział co czyta. Wyszedł więc do ogrodu przeznaczonego na przechadzkę dla chorych. Jasny blask księżyca oblewał srebrzystym blaskiem drzewa i krzewy kwitnące, które zwilżone kroplami rosy, roztaczały balsamijne wonie. Olbrzymie góry otaczające dolinę, w któréj leży miasteczko, sterczały wśród mgły wieczornéj jakby pomniki wielkich jakichś dawno minionych czasów, a wśród zarośli słowiki rozszerzały swe czarowne śpiewy. Tutaj usiadł na darniowéj ławeczce i oczekiwał dopókąd nie nadejdzie upragniona chwila, gdzie będzie mógł Łucji wytłómaczyć swe postępowanie i przeprosić za boleść, którą jéj to może sprawiło.

Państwo Rikoczy wkrótce po swojém przybyciu do F... wyprowadzili się byli z hotelu i zamieszkali piękny dom na przedmieściu, otoczony z tylnéj strony ogrodem przez który płynęła rzeczka, nad ktorą leży to miasteczko. Od domu do rzeczki prowadziły terasy porosłe darnią i rozmaitemi pięknemi krzewami. Pomiędzy ogrodem otaczającym ten dom i sąsiednim ogrodem, który był około domu zamieszkiwanego właśnie przez pana dyrektora Straussa, była wązka uliczka prowadząca przez fórtkę w sztachetach na terasy, a ztąd do tylnych drzwi domu. Kto chciał więc tyłami wnijść do pomieszkania hrabiów Rikoczy, musiał przechodzić przez tę uliczkę, tuż około ogrodu należącego do para dyrektora.

Północ wybiła na zegarze kościelnym. Na ulicach było pusto i próżno. Doktor Kolaczek osłoniony obszernym płaszczem idzie ostrożnie wzdłuż rzeczki, potém skręca w wązką uliczkę i otwiera po cichu fórtkę prowadzącą do ogrodu. Przy blasku księżyca zdaje mu się, iż widzi za płotem sąsiedniego domu przyczajoną osobę, lecz nie zważając na to wchodzi śmiało do ogrodu i wkrótce znajduje się u tylnych drzwi domu, które się cicho otwierają i spieszno zamykają za nim. W kilka chwil potém staje w bawialnym salonie hrabiostwa, słabo oświeconym światłem lampy stojącéj na stole.

Łucja pospieszyła z wyrazem radości na jego spotkanie.

— Dla czego unikasz nas pan? rzekła głosem, w którym się lekkie drżenie odbijało.

— O pani! zawołał doktor, całując z uczuciem podaną mu rękę. Tylko najszczersza troskliwość o dobro wasze mogła mnie wskazać na te męczarnie.

Tu opowiedział jéj dosłownie całą swą ostatnią rozmowę z dyrektorem.

— To dziwnie, rzekła Łucja, pan dyrektor okazuje nam ciągle tak wiele życzliwości, uwolnił nas bez wszelkich trudności, to jest moją bratową i mnie, z ciężącéj na nas opieki policjantów, a panu stawia tak przykre i trudne warunki.

— Powiada, że ma rozkaz od swéj wyższéj władzy, by nam wszelkiego porozumiewania się pomiędzy sobą zabraniał, jako świadkom w procesie kryminalnym, dodał doktor po chwili wahania.

— Lecz w tym razie byłby dyrektor powinien mojéj bratowéj i mnie zakazać widywania się z sobą, zawołała Łucja.

— Tak, dyrektor okazał się dla mnie o wiele surowszym, niż dla pań, odpowiedział doktor urażony nieco tém, że Łucja zdawała się uważać słowa jego więcéj jako wymówkę, niż za istotną złą wolę dyrektora. Jego uczynność jest tylko czystą obłudą, bo cóż mi po wolności pod temi warunkami, że mi zabronioném jest widywać się z panią! Doktor wymówił te słowa z wielkiém wzruszeniem, podczas kiedy ciemne oczy Łucji spoczywały na jego twarzy z badawczém powątpiewaniem. Lecz nie wezwałaś mnie pani zapewne dla tego tylko, aby mi czynić wyrzuty, rzekł po chwili milczenia. W obec grożącego nam niebezpieczeństwa trzeba nam

konieczniej porozumieć się, jakich użyć mamy środków obrony.

Łucja za całą odpowiedź wzięła lampę i zaprowadziła doktora do przyległego pokoju, gdzie na wygodném fotelu spoczywała hrabina Rozalja. Gdy wszedł, podniosła się i powitała go jako dawno upragnionego przyjaciela. Doktor znalazł ją jeszcze bledszą i słabszą niż zwykle, boleść bezmierna i zupełne zwątpienie malowało się w jéj pięknych niebieskich oczach, otoczonych dzisiaj ciemno-sinemi obwódkami.

— Jakże się pani miewasz? rzekł z wyrazem najszczerszego współudziału.

— Moje niezmierne wzruszenie uspokoiło się nieco, odpowiedziała stłumionym głosem. Dziękuję tylko Bogu, że mogę odwiedzać codziennie mego męża. Jakby to okropnie było, gdyby nas byli zupełnie rozłączyli. Dyrektor bardzo szlachetnie obchodzi się z nami. Czyni co tylko może, by nam sprawić jakąś ulgę w tych dotkliwych cierpieniach.

— Więc i ją potrafił sobie ująć ten przebiegły szatan, pomyślał doktor.

— To bardzo grzecznie od niego, że i pana uwolnił, rzekła hrabina po chwili milczenia.

— Tak, za złożeniem kaucji i za przyrzeczeniem...

Łucja dała szybki znak doktorowi, by nie wspominał o tych warunkach hrabinie.

— I za przyrzeczeniem, że stawię się, gdy mnie znowu wezwą na posłuchanie, dokończył doktor zrozumiawszy znak Łucji.

Doktor Kolaczek wspomniawszy o kaucji, spojrzał badawczo na obie panie, lecz te nie dały nic poznać po sobie, a nie śmiał je wyraźnie zapytać, czy nie wiedzą kto mu przesłał takową.

Łucja podała mu krzesło i gdy usiedli oboje około fotelu hrabiny, młoda dziewczyna przerwała pierwsza kłopotliwe milczenie.

— Więc Karolina umarła rzeczywiście w skutek trucizny? rzekła.

— To nie podpada niestety żadnéj wątpliwości, odpowiedział doktor.

— Ale czyż pan nie domyślałeś się tego bynajmniéj, widząc ją w chorobie?

— Droga pani, wystaw sobie położenie lekarza w czasie cholery, odrzekł Kolaczek z zapałem. Powoływany co chwila od jednego do drugiego umierającego na te straszliwe cierpienia, które choć równe w główNych zarysach, nieskończenie różnym podlegają zmianom, nie ma on nawet czasu badania zarodu choroby, lecz niesie pomoc, jaka mu właśnie w chwili gwałtownych symptomów zdaje się najstósowniejszą. To rozważywszy pojmiesz pani, że przy jéj umierającéj bratowéj nie pomyślałem nawet o działaniu trucizny, zwłaszcza, że znając rodzinę państwa, nie miałem do tego najmniejszego powodu.

— I ta sama trucizna znalazła się u mojego brata? zapytała Łucja po chwili milczenia.

— I to jest faktem dowiedzionym, odpowiedział doktor.

— Ale jakże tłomaczysz sobie pan ten dziwny zbieg okoliczności, który nasi nieprzyjaciele użyli, by rzucić tak niegodziwe podejrzenia na mojego brata, rzekła Łucja rzucając badawcze spojrzenie na doktora. Co pan w swojém sumieniu myślisz o tém? dodała spuszczając oczy.

— Z początku uważałem tę całą pogłoskę o otruciu hrabiny za czysty wymysł wyobraźni wzburzonéj i przestraszonéj okropnościami cholery, odpowiedział doktor po chwili namysłu, bo często zdarza się, że ludzie w takich okropnych czasach na najdziwaczniejsze przychodzą pomysły. I ztąd pochodziło téż, żem zupełnie spokojnie powiedział wówczas pani o wykopaniu ciała zmarłéj jéj bratowéj.

— Kto mógł rozszerzyć najpierw tę pogłoskę?

— Właściciel hotelu w którym umarła hrabina, odpowiedział doktor. Zależało mu na tém, aby się nie rozgłosiło, że w jego domu zapanowała cholera, więc wolał rozgłosić, że hrabina nie umarła śmiercią naturalną, a myśl do tego podał mu stary doktor Fride, któregośmy przywołali do rady. Było to od niego niesłusznie i nie po koleżeńsku, że to swoje mniemanie powiedział do kogo innego a nie do mnie. Lecz on już nie żyje, trudno mu więc robić wyrzuty.

— A zkąd on mógł wpaść na te domysły, których pan nie miałeś wcale?

— Był to starzec z pięćdziesięcioletniém doświadczeniem, pani, a u lekarza doświadczenie więcéj znaczy, niż najgłębsza wiedza. Przytém on był zupełnie obcym, kiedy przeciwnie ja stałem przy łożu hrabiny z uczuciami sympatji, które nawet myśli o otruciu nie przypuszczały.

Obie panie zdawały się zupełnie przekonane argumentami młodego lekarza, on zaś mówił daléj:

— W hotelu pod „Królem węgierskim“ przebywał często Juljusz Melville, agent towarzystwa paryzkiego, u którego życie hrabiny było zabezpieczone na 100,000 franków. I on to podał pierwszy wniosek do sądu wiedeńskiego o wydobycie jéj ciała. Reszta jest paniom wiadoma.

— Takie więc były okoliczności, które tę niegodziwą wywołały pogłoskę, rzekła Łucja. Lecz jakżeż tłomaczysz to pan sobie, że Karolina umarła właśnie w skutek téj trucizny, którą znaleziono pomiędzy rzeczami mego brata?

— To pozostanie nierozwiązaną zagadką, dopókąd brat pani nie odzyska zdrowych zmysłów, odpowiedział doktor.

— Ale jakie robisz pan przypuszczenia w tym względzie?

— Do takich przypuszczeń potrzebaby większéj znajomości usposobień tak hrabiego jak i pierwszéj jego żony, odpowiedział doktor. Pani możesz daleko jaśniejszy mieć na to pogląd odemnie.

— Dobrze! spróbuję — rzekła młoda dziewczyna jakby w natchnieniu, a spojrzawszy na Rozalję, która siedziała nieruchoma z twarzą, w któréj wyrażało się przekonanie o bezużyteczności wszelkich kroków obrony, mówiła daléj: Mój brat w ostatnich czasach swego małżeństwa z Karoliną zdawał się bardzo niezadowolony.

— Łucjo!... odezwała się teraz słabym głosem Rozalja.

— Pozwól kochana siostro, mówiła Łucja, biorąc w swe gorące dłonie zimną, wilgotną rękę hrabiny. Pan doktor jest naszym szczerym przyjacielem, a żądając od niego pomocy, nie powinniśmy ukrywać przed nim niczego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka uwag o prasie galicyjskiej.

(Ciąg dalszy.)

Zacznę od sprostowania myłki druku, zaszłéj w ostatnim artykule o „prasie galicyjskiéj“ na str. 240, wiersz 8my, gdzie zamiast: „Gazeta Narodowa“ — czytać należy: „Gazeta urzędowa poważnie wygląda“ — bowiem Gaz. Nar. już dawno przestała wyglądać poważnie, — daléj w wierszu 27 zamiast „a privat“ czytać należy: „ex privata diligentia“ — a przechodząc do rzeczy właściwéj, wspomnę tu o poruszonym poprzednio zupełnym braku feuilletonów w Gaz. Nar.:

Publiczność tutejsza pomimo skłonności do lektury lekkiéj, umie cenić dziennikarskie artykuły, napisane ze znajomością rzeczy i z ową imponującą każdéj klasie powagą — któréj, jak już wyżéj powiedziałem, Gazecie Narodowéj brakuje. — Otóż gdyby ten brak był wynagrodzony przynajmniéj zręczném piórem kroniki codziennéj i tygodniowéj, toby choć pewna część czytelników zadowolnioną była. — Dawniéj, gdy p. Lam był tym kronikarzem, czytano chciwie — szczególnie kronikę niedzielną, która częstokroć napisaną była dowcipnie i zawierała rozmaitość zajmującą. Po odejściu p. Lama, czynili jego następcy wysilenia gwałtowne aby przynajmniéj raz na tydzień zapełnić odcinek jakim takim dowcipem, lecz daremna praca. Zamiast humoru i dowcipu jędrnego, traktowano czytelników taką mizerją, taką bazgraniną pospolitą, — że litość brała nad takiém krzyczącém świadectwem ubóztwa. — Po długich nadużyciach cierpliwości czytelników i szyderstwach Dziennika Polskiego, — uwolniono przecie publiczność od tak zwanych kronik niedzielnych, a na ich miejsce przybyły nam pokłosia tygodniowe. Przyznać należy, że te pokłosia czasem bywają dobrze napisane, — zwłaszcza te, z których przebija wytrawne pióro pana A. G. — Lecz kiedy się pokusi do biednego pokłosia robotnik udający mistrza, wtedy ręka jego niezgrabna zamiast kłosów, ciska w oczy czytelnika chwastami i kąkolami — tak, że obecnie nikt prawie nie patrzy na łamy pokłosia.

Kronika codzienna przepełniana jest wprawdzie mnóstwem wiadomostek i artykulików niemieszczących w sobie wiadomości i świadczących, że autor nie świadom powołania kronikarskiego — obraca się nie w świecie właściwym, lecz w bardzo ciasném kółku, nader ubogiém w nowiny, któreby mogły rozciekawić czytelnika.

O polityce i wstępnych artykułach, daléj o wpływach kierujących zasadami politycznemi Gaz. Narodowéj obecnie jeszcze nic nie mówimy, gdyż téj najważniejszéj gałęzi dziennikarskiéj osobny poświęcimy artykuł. — O części gospodarskiéj zaznaczyć należy, że nie mieści w sobie zgoła nic, coby gospodarza jakiegokolwiekbądź działu zająć a tém mniéj nauczyć mogło. Uprawa roli — odłogiem, o łąkach i niwach ani słowa, a lasy — żal się Boże, jakby już wcale takowych nie było. Słowem gospodarka tutaj już tak pogrzebana, jak w onych dobrach, których właściciel zgrał się w karty za granicą, poruczając tymczasem rządy chytremu Herszkowi, a ten wypleniwszy ziemię, zostawił po sobie tylko pokłosie, w którém nawet mistrz kłosa nie znajdzie.

Przemysł i handel jeszcze uboższym jest w opracowania i można sumiennie powiedzieć, że jest całkiém zapomnianym, a całość tego działu jest tak biedną, iż trudno pojąć dla czego figuruje tytuł: „Gospodarstwo, przemysł i handel“ w Gaz. Narodowéj.

Dział literacko-artystyczny mógłby być dobrym, gdyby nie przyczepiano do niego recenzji teatralnych, które bywają czystą ironją krytyki, i gdyby miał stałe opracowania, bo z wyjątkiem wspomnianych recenzji, inne artykuły literackie tylko sporadyjnie się pojawiają. — Krytyka teatralna wymaga prawdziwego znawcy sztuki w dziale dramatycznym, a jeszcze bardziéj w dziale opery. — Artyści mając przed oczyma krytykę napisaną z istotną znajomością rzeczy, kształcą się z niéj i wyrabiają doskonaléj, aniżeli w szkole dramatycznéj, i nabierają owego wykończenia artystycznego, którego nie zdoła udzielić najlepszy nauczyciel. — Zaś krytyki teatralne Gazety Narodowéj wyglądają zawsze tak jak zadania i wyroby studentów, którym pan przełożony kazał tego lub owego pochwalić, zaś innego zganić. — Spotykamy się zatém z niesmacznemi pochwałami, częstokroć zastósowanemi do artystów, którzy zasługują na surową naganę, zaś z niezgrabnemi osądzeniami gry tych, których ocenić nie zdolna jest cała siła wiedzy poverina nazwanego recenzentem.

Są to namacalne skutki i dowody wspomnionego w poprzednim artykule osłabienia sił intelektualnych redaktora Gaz. Narodowéj, któremu coraz bardziéj uczuwać się daje brak poglądu na całość gazety. Brak ten jeszcze wybitniéj się okazuje od czasu, gdy redaktor Gaz. Narodowéj zajął się sprawami administracyjnemi i artystycznemi teatru lwowskiego, i udając w pocie czoła fachowego kierownika doprowadził rzeczy tak dalece, że aż potulny komitet teatralny zmuszonym był dać mu consilium abeundi. Teatralnym sprawom poświęcimy osobny artykuł, więc obecnie wracamy do prasy i twierdzenia naszego, że Dziennik Polski lepszą ma redakcję aniżeli Gazeta Narodowa.

Dziennik Polski założony przez akcjonarjuszy, — opuszczonym został po 8-miesięcznych eksperymentach przez tychże akcjonarjuszy; pozostało mu tylko kilku opiekunów, którzy kierowali redakcją polityczną, — a pomiędzy nimi wskazywano obecnego ministra Dr. Ziemiałkowskiego za przedniejszego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak najuprzejmiéj upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniéj ściągać pocztowemi zaliczkami tylu drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwém było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowemi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz każdonumerowe koszta 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

Redakcja.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).